

Okazuje się więc, że podróżując, z czasem coraz częściej odnajdujemy przyjemność w nieoczekiwanych momentach, podczas gdy te długo planowane kończą się fiaskiem i rozczarowaniem. W szczególności rodzi się w nas niechęć do wszelkiego rodzaju atrakcji figurujących w pierwszej dziesiątce na listach „Do zobaczenia”. Z całym szacunkiem, ale żeby leźć do każdego muzeum, które figuruje w przewodniku, to dla mnie niepojęte. Szczególny to wszak rodzaj podróżowania, gdy większość czasu spędzamy wśród innych zwiedzających. Z czasem pragniemy uciec od nich jak najdalej, by choć przez chwilę żyć życiem miejsca, w którym się znajdujemy. W Kioto ciężko przeżyłem wizytę w obleganej świątyni Kiyomizu-dera i dopiero spacer odległymi uliczkami dzielnicy Gion przyniósł pojednanie z miastem. W Luksorze gotów byłem dołączyć do nieboszczyków spoczywających w Dolinie Królów, żeby tylko uwolnić się od wszechogarniającej turystycznej plagi. Kulminacja rozpacz nastąpiła jednak w Cuzco, w Peru, w którym wizyta zapisała się w mojej pamięci czarnymi zgłoskami. Po czterdziestu pięciu minutach spędzonych na Plaza Regocijo, w czasie których zjadłem najdroższą i najgorszą pizzę w swoim życiu oraz nie kupiłem siedmiu obrusów, pięciu obrazków i trzech misek, byłem gotów strzelić w pysk każdego, kto zbliżył się do mnie na odległość trzech metrów. Z ogniem w oczach złapałem plecak z hostelu i wrzeszcząc na taryfiarza, kazałem się zawieźć najkrótszą drogą na dworzec autobusowy, gdzie niemal rzuciłem się pod koła pierwszego autobusu, który wyjeżdżał z parkingu. Wszystko, aby tylko wydostać się z tej turystycznej Sodomy i Gomory.

Wątpiąc się po świecie i spędzając długie samotne godziny w autobusach, zastanawiałem się wielokrotnie, jaki jest ideał podróży. Naturalnie, jeśli ktoś spędza wakacje, wygrzewając się w Club Medzie na Karaibach, do tego ideału mu daleko. Co jednak uwiarygadnia tych, którzy mierzą nieco wyżej, jako prawdziwych odkrywców i poszukiwaczy? Ile podróżniczej prawdy tkwi w przekraczaniu granic państw, a ile w przekraczaniu własnych granic? Którą jej stronę poznali Livingstone, de Brazza, Dybowski? Czy znalazł ją Kukuczka? Czy znajdujemy ją my, weekendowi konkwistadorzy XXI wieku?

Jestem pełen podziwu dla gości od marketingu w LVMH. Naprawdę. Szczerze sędzę, że mają przerąbane. Szacuje się, że tylko jeden procent produktów z monogramem LV sprzedawanych na świecie pochodzi z oryginalnego źródła. Niczym pakiety last minute dla ubogiej fantazji biedoty turystycznej, Louis Vuitton stał się pakietem last minute dla ludzi pozornie interesujących się modą, a w rzeczywistości niemających pomysłu na siebie. Co ciekawe, to właśnie te wypacykowane laleczki z fałszywymi torebkami można najczęściej dojrzeć wystające w kolejkach do lotów czarterowych. Na dłuższą metę to musi być dość przygnębiające żyć w podwójnym kłamstwie.

Gości od marketingu w LVMH to jednak nie wrzusa i z uporem maniaka oraz wytrwałością i idealizmem największych podróżników próbują przebić się do szarej masówki z komunikatem nowej treści. Nucąc pod nosem This Time Tomorrow The Kinks z filmu Wesa Andersona, ładują gdzie się da precyzyjny product placement, tworzą kampanie z Catherine Deneuve, Gorbaczowem i amerykańskimi kosmonautami, a w końcu kręcą pierwszy w historii francuskiego domu mody film reklamowy, który jakkolwiek dziwacznie to brzmi, w dobie zdejmowania tenisówek na lotniskach i pakowania małych buteleczek szamponu w plastikowe torebki przypomina nam o istnieniu magii podróży, przemieszczania się i odkrywania. A Journey stawia na wędrówkę, nie podróż, i staje się emisariuszem prawdy, której nie można zakleić znaczkiem i wysłać do domu. W naszej pogoni za osobistymi chwilami refleksji w miarę upływu czasu onus doświadczenia oddala się od osiągnięcia celu podróży w stronę samego procesu wędrówki. Magię przybycia na miejsce zastępuje magia przejazdu. Magię zachwyty zastępuje magia refleksji. Z dużą sympatią słucham zawsze o kolejnych przedsięwzięciach Martyny Wojciechowskiej. Jestem jednak gotów postawić pani Martynie filiżankę dobrej zielonej herbaty, jeśli większość chwil, w których odkrywając geograficznie, odkrywała siebie, nastąpiła nie podczas procesu wędrówki, a w momencie osiągnięcia jej celu. Ten prosty jak konstrukcja cepa koncept, że aby zebrać owoce podróży, trzeba w nią włożyć choćby minimum wysiłku, w dobie szybkich urlopów i resortów all inclusive dramatycznie traci na popularności. Niezwykle trudno było mi traktować zwiedzanie Japonii w kategoriach „podróżowania po Japonii”. W

kraju, w którym zegarki regulowane są według rozkładu jazdy pociągów, wyeliminowane zostały do zera jakiegokolwiek niespodzianki związane z procesem przemieszczania się. Pojęcie przygody w Japonii wirtualnie nie istnieje. W przewodniku po Boliwii czytamy, że czas przejazdu autobusem z Rurrenabaque do Riberalty zajmuje „od 24 godzin do trzech dni”. W ciągu trzech dni naprawdę dużo może się wydarzyć.

Wydaje się więc, że magia i prawda podróży przejawiają się w dziesiątkach wzruszeń, które przeżywamy, zmierzając do naszego miejsca przeznaczenia, w kolejnych próbach ucieczki, jakie podejmujemy w ciągu lat. Machu Picchu trzeba zobaczyć. Pojechać tam raz w życiu i nigdy tam nie wracać, bo stojąc na tarasach starożytnego miasta, prawdy nie odkryjemy. Być może gdzieś w świecie istnieje idealna świątynia, idealna plaża, idealny szczyt. Niestety, im bardziej ich szukamy, tym mniej potrafi nas zadziwić, a im więcej doświadczyliśmy, tym bardziej cel podróży się zaciera. Podobnie jak z czasem bledną sceny obejrzanego filmu, również szczegóły naszych wycieczek odchodzą w zapomnienie. Pozostaje jednak – idea.

Osobiście pielęgnuję wiele momentów związanych z konkretnymi miejscami, które zostaną ze mną na zawsze. Rozświetlone gwiazdami niebo w Himalajach; widok dryfującej leniwie felukki na Nilu; rozciągające się nocą po horyzont światła Osaki i Kobe; zachód słońca nad Masai Mara; niezliczone chwile z Nowego Jorku.

Jednak coraz częściej głębszych wzruszeń dostarczają mi przejazdy z miejsc do miejsc: pusty dworzec autobusowy w Managui; żółta taksówka w drodze z lotniska JFK na Manhattan; gdy w obcym kraju idę po rozgrzanej płycie lotniska w kierunku schodków samolotu.

Świadomość, że proces ucieczki dostarcza nam więcej satysfakcji niż osiągnięcie jej celu, przychodzi z czasem. To ważna informacja dla nas, o nas, od nas. To trudna lekcja, która przewartościowując nasze pojęcie celu, paradoksalnie pomaga nam zbliżyć się do niego i go zrozumieć. W końcu zdajemy sobie sprawę, że podniecenie odczuwamy coraz rzadziej. W końcu jedynie wtedy, gdy przekręcając klucz w zamku, z plecakiem na ramionach, zamykamy za sobą drzwi mieszkania.